



ZACZYŃ



T Y G O D N I K

Nr. 7 (12).

Warszawa, czwartek dnia 18 lutego 1937 r.

Rok II.

LIBERALIZM WOJUJĄCY

P. Józef Łobodowski w „Kurjerze Poranym” z dnia 9. II. b. r. zaatakował wrogów „wolności społecznej”.

Nie chodzi nam jednak w tym wypadku o poglądy p. Łobodowskiego na to kapitalne zagadnienie, do którego, niestety, nie wniósł nic nowego.

Taniutkie komunały, dziwnie przypominające styl propagandowej literatury „Frente Popular”, wcale nie świadczą o dynamizmie naszego rodzimego demoliberalizmu.

Wprawdzie denerwujący jest upór, z jakim nasi liberalowie szermują argumentami, sięgającymi czasów klasycznego marksizmu. Zdaje się im, że wystarczy wymienić czasy Filipa IV (dlaczego nie Filipa II-go?), ażeby odrazu „na czysto” wytłumaczyć genezę walk o nową Hiszpanię.

Na nic nauka życia, potężne zmiany w układach sił społecznych (nieprzewidziane w teorii dziejowego materializmu) i nowe prądy powojennej kultury. Dla nich żyją wciąż sugestie „Wiosny Ludów”. Ale to wszystko możnaby darować, gdyby nie pewien znamieny dla naszego demoliberalizmu ton bojowości — przeciwko każdej próbie wzmocnienia Polski na gruncie jednolitej doktryny.

I to właśnie zmusza nas do reakcji.

Niech się dzieje na świecie i obok nas co chce, a my nie zgodzimy się na żadne „zamykanie na wolność społeczną”, z uporem powtarza p. Łobodowski. Uczyniono z tej „wolności” jakiś fetysz, jakiegoś „tabu” (jak słusznie zauważa w replice panu Ł. — p. Skiński), które trzeba czcić nie wiedząc co właściwie zawiera i do czego prowadzi.

To przeogromne zagadnienie wolności, które w różnych warunkach historycznych ma inną treść ideową i innym celom społecznym służy — dla naszych „fetyzystów wolności” jest czymś bezspornym, scałkowanym, dzielącym niemal mechanicznie świat na „czcicieli wolności” i nowoczesnych barbarzyńców, którzy na nią nastają.

Podstawowy problem stosunku wolności indywidualnej do wolności zbiorowej — w rozumowaniach naszych liberalów jest niczym więcej jak tylko zagadnieniem norm prawnych. A przecież właśnie w imię ideałów wolności zbiorowej, której wyrazem jest rzeczywista suwerenność państwa — konieczne jest stałe ograniczenie wolności indywidualnej.

Właśnie zdolność ograniczania wolności indywidualnych na rzecz państwa — były na całej przestrzeni dziejów miarą wielkości i siły prężności społecznych.

Trzeba mieć naprawdę atrofię zmysłu historycznego, ażeby mając Polskę na myśli, twierdzić, „że może istnieć naród dynamiczny, zwarty i nie poddający się ni-

czyjej ekspansji ani materialnej ani duchowej, a żyjący w atmosferze tolerancji i wolności”.

Ta niewyraźna „atmosfera tolerancji i wolności” stała się u nas czymś w rodzaju zawołania wiecowego, bez żadnej siły przekonywającej.

Dziś uczeń szkoły średniej wie, że aby mógł powstać naród „zwarty” i „dynamiczny” to do tego potrzebną jest twarda zaprawa w państwowości.

Anglia, rzekomo pławiąca się dziś w atmosferze „wolności” i „tolerancji” — miała jednak w swej historii Cromwella.

A gdy wypadło dzisiejszej „wolnościowej” Anglii zmierzyć się z „totalną” Italią, to jednak triumf był nie po stronie demoliberalnej doktryny rządzenia.

Z samego bałwochwalczego czczenia „wolnościowych fetyszów” nie powstał jeszcze nigdzie żaden „zwarty i dynamiczny” zespół narodowy. Wreszcie 18 lat naszego niepodległego bytu, — które były i „wolnościowe” i „tolerancyjne”, a jednak nie dały narodowi ani zwartości ani dynamizmu, każą nam stanowczo odwrócić się od mglistych sugestij pięknoduchów, przeżywających po różnych cichych zakątkach polskiego życia spóźnioną „Wiosnę Ludów”.

Domyslam się, że p. Ł. jest gotów gdzieś indziej szukać przyczyn dzisiejszego stanu Polski, — jednak my zbyt dobrze czujemy, że właśnie owa „wolnościowa tolerancyjność”, dla rozwidrzonych, „sobiepańskich” poglądów i poglądów i dziwna awersja do zbiorowego, zdyscyplinowanego, wysiłku całego narodu — są główną przyczyną naszego bezwładu.

Zbiorowe życie nie jest rządzone tylko prawami wolnego, szczytnego ducha ludzkiego. Oddziaływanie sił negatywnych jest nieuniknione w najlepszych społeczeństwach.

Trzeba się z tym stale liczyć i w imię właśnie tych szczytnych duchowych dóbr wyznaczać twarde granice wolnościom indywidualnym i grupowym.

Te „wolnościowe” tęsknoty Łobodowskich jak i wielu innych przedstawicieli mentalności wywodzącej się ze środowiska inteligentnych trupów — to najlepsza pożywka dla znacznie gorszego wroga wolności społecznych, aniżeli „niewola totalna czy też nacjonalna”.

Biadając tak jak p. Łobodowski można rychło znaleźć się w sytuacji rosyjskich kadetów, gromiących ucisk państwowy za czasów Kiereńskiego, a później tępiących jak szczury z chwilą gdy ideał jedyne socjalistycznego imperium stał się rzeczywistością. „Inteligentne trupy” zatruwają nam

systematycznie każdy naradzający się prąd energii narodowej, wtenczas, gdy o medzę odbywa się niebywała w dziejach mobilizacja sił siedemdziesięciomiljonowego narodu!

To stałe zakładanie „liberum veto” przeciwko każdej mobilizacji sił państwa i narodu tylko dlatego, że nie służą „ogólnoludzkim ideałom” — staje się u nas obrzydliwą manią.

Że totalizmy czy też nacjonalizmy doprowadzają do gry karabinów maszynowych — jak przestrzega p. Ł. — na to niema rady.

Jednak my wiemy dobrze, że karabiny maszynowe z równym powodzeniem grały i grają również i z innych przyczyn, a z dwojga złego każdy Polak woli tę grę w czystym polu w imię państwa, aniżeli w podziemiach różnych G. P. U. za „odchylenia w poglądach politycznych”.

My dążymy do zagwarantowania rzeczywistej wolności obywatela właśnie przez silne ujęcie jej w ramy jednolitej doktryny, która daje możność skierowania wszystkich wysiłków społeczeństwa jednym łozyskiem, do wielkiego celu — niewątpliwej suwerenności państwa.

Musi nam przyznać p. Łobodowski, że dla przeciwstawienia się potężnym prądom zewnętrznym dziś pozostał nam do wygrania tylko nasz najsilniejszy atut — fanatyczne (my tego określenia nie wstydzimy się) przywiązanie do własnego państwa i głęboki patriotyzm.

Siły te, mimo zaklasyfikowania ich przez p. Ł. do podrzędniejszego gatunku, są jedynie zdolne stworzyć wartość i dynamizm narodu i lepiej zabezpieczyć wolność społeczną, aniżeli najszczytniejsze „ideały ogólnoludzkie”, prowadzące nas prostą drogą do nowych „poświęceń mesjanistycznych”.

Oczywiście, że żaden faszyzm czy też inna „mocna doktryna” sama przez się nie zaktywizuje naszych sił. Zreszta doktryna ma tu znaczenie drugorzędne. Chodzi raczej o wywołanie potężnego prądu, który zmobilizuje siły duchowe do walki o rzeczywistą wolność i mocne podstawy rozwoju całej zbiorowości i to nie tylko tej, która jest dziś, ale przede wszystkim tej co przyjdzie i musi mieć warunki do pełnego życia.

Ciężar zagadnienia przyszłości Polski nie leży w żadnym wypadku w płaszczyźnie naszych obecnych przeżyć i naszych potrzeb wolnościowo-konsumpcyjnych — lecz w naszej zdolności stworzenia silnego, zwanego organizmu państwowego i społecznego, czego nie da się przeprowadzić bez ofiar i poświęceń we wszystkich dziedzinach życia.

Ten cel musi być osiągnięty za wszelką cenę. W okresie jego realizacji, jeżeli zaj-

dzie potrzeba, wolność społeczna może być niemal całkowicie ograniczona, tak jak ograniczają się swobody w państwie, które przeprowadza mobilizację lub prowadzi wojnę.

Już najwyższy czas zrozumieć, że realizacja konieczności Polski bez wprowadzenia stanu **wyjątkowego** w sensie konsolidacji sił do dyspozycji państwa i jednego planu działania — jest nie do pomyślenia.

Aby jakakolwiek doktryna mogła działać skutecznie na polskim gruncie trzeba zdecydowanie wyzbyć się dwóch rzeczy: warcholstwa duchowego i braku wiary we własne siły.

ŚWIAT NAUKI A ŻYCIE

Monitor Polski z dn. 1. XII. 1936 r. po dał do wiadomości publicznej fakt powstania i rozpoczęcia prac Rady Nauk Ścisłych i Stosowanych, który to fakt, jak oświadcza w swym przemówieniu Pan Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, należy uważać „za moment zwrotny w rozwoju naszych wysiłków zbiorowych, zmierzających do wzmożenia tempa prac nad rozwojem kultury duchowej i materialnej Rzeczypospolitej”. Dalej resortowy minister od spraw nauki wyraża słuszny pogląd, że praca uczonych i badaczy winna mieć na celu dopomożenie państwu „w jego pracach nad wzmożeniem jego siły i potęgi”.

Nareszcie! — wołamy z zadowoleniem, zaniepokojeni brakiem jakiegokolwiek powiązania pracy naszych uczelni i uczonych z tym co wymaga od nauki nowoczesne państwo.

Może nareszcie skończą się jako najbardziej „efektywne” bzdurne tematy prac doktorskich jak np. „O słowie „musztarda” w językach europejskich”, „O zagadnieniach partykuły, „li” i t. p., których wykaz podał „Zaczyn” Nr. 7; może nareszcie zaczniemy naśladować wzory innych państw, które do pracy dla potęgi państwa stworzyły nie tylko trusty mózgów, ale wykorzystują i organizują wszystkich uczonych i wszystkie komórki pracy naukowej pod hasłem „że skoro nauka jest istotnym czynnikiem w życiu jednostki (ludźkości) i narodu, — nauka winna pracować dla państwa” *).

Niestety, — wszyscy, którzy na podstawie tak pięknie i szumnie zapowiadanych deklaracji, spodziewali się, że Rada Nauk Ścisłych i Stosowanych, stanowiąc będzie moment zwrotny w bezplanowej akcji różnych naukowych instytucji, pragnących pracować z sensem dla państwa, — są w błędzie.

Przypatrzmy się wykonaniu i realizacji pięknych i słusznych hasel, choćby tylko na podstawie protokołów posiedzeń inauguracyjnych komitetów naukowych, a będziemy mieli obraz ich możliwości.

Jeśli zgodzimy się nawet z twierdzeniem, że nauka nie powinna wyłącznie pracować dla celów utylitarnych, to z punktu widzenia nawet częściowego wykorzystania nauki dla celów państwowych wzmożenia potęgi zarówno w życiu pokojowym jak i wojennym, twór Rady Nauk Ścisłych i Stosowanych nie odpowiada swojemu przeznaczeniu.

Oto dlaczego:

Instytucja naukowa tego rodzaju jak Rada musi być traktowana jako jedna z najważniejszych komórek cywilnego sztabu, mającego za zadanie podniesienie do maksimum czynnika wiedzy i twórczości naukowej, której wyniki są równie ważne jak np. armaty w czasie wojny lub zdobycie nowych terenów zasobnych w potrzebne surowce.

Instytucja naukowa tego typu co Rada, aby mogła celowo pracować musi znać istotne potrzeby zarówno wojny, jak i pokoju, musi mieć możliwość stałej i najbardziej intymnej współpracy z czynnikami przygotowującymi potencjał obronny naszego kraju.

Zadań tych nie jest w stanie spełniać Rada, powstała jako luźne porozumienie

kilku szanownych instytucji naukowych, które skolei wyłoniły szereg komitetów naukowych, pracujących jeden od Sasa drugi do lasa, bez żadnych wytycznych ze strony czynników jedynie znających zapotrzebowania państwa: t. j. Sztabu wojkowego i potrzeb planu państwowego.

Instytucja tego typu co Rada nie może być tworem społecznym, nieokreślonym, a musi mieć charakter instytucji działającej z ramienia państwa, stosownie do zapotrzebowania i w ramach ogólnego planu państwowego pokojowego i wojennego. — Tak jak została stworzona, będzie jeszcze jedną próbą grupy naukowców, ludzi dużej wiedzy i dobrej woli, ale bez możliwości wykonania tych zadań, do których rzekomo zostali powołani.

Prace inauguracyjne komitetów naukowych Rady, stwierdzają rozpaczliwy stan naszych środków i możliwości efektywnej pracy naukowej w niektórych dziedzinach, boleją nad tym, szukają środków zaradczych, nie widzą natomiast sprecyzowania, lub choćby jasnego poglądu na kierunkowość i cel prac w danej dziedzinie.

Określenie tego celu na dalszą metę, stworzenie ogólnego planu państwowego, opartego na nauce i wiedzy, należy do czynników kierujących państwem, a w każdym razie do „wielkiego milczka”, t. j. armii, która winna dać wykaz swojej współpracy w formie udziału swych przedstawicieli w Radzie dla postawienia postulatów obrony. Tego jednak również organizacja Rady nie przewiduje. (99).

WOLNOŚĆ

Wiek XIX uczciwie spełnił swoje poslanictwo otrzymane od encyklopedystów francuskich i Wielkiej Rewolucji — i doprowadził zarówno w myśleniu, jak i w realizowaniu zasadę poszanowania jednostki i jej praw do wyzyskania nieznanych uprzednio.

Zapewne daleko mu było jeszcze do osiągnięcia stanu idealnego, a choćby zadowalającego wymagania czołowych myślicieli, ale stwierdzić należy, że osiągnął ideę przewodnią wszelkich reform, dążeń i wysiłków XIX w. był jednak człowiek, jednostka i jej prawa, względnie grupa jednostek, dobrowolnie zrzeszonych i legitymujących swoje prawa grupowo-osobnicze.

Teoretycznie bowiem w każdym zespole, każdej organizacji, czy partii, widziano zbiór jednostek ludzkich, zrzeszonych właśnie dla osiągnięcia zamierzeń, czy zaspokojenia tych, czy innych potrzeb poszczególnych swych członków.

Dobrobyt jednostki, na przykład, leży u podstaw wszelkiej argumentacji związków zawodowych, czy partii politycznych. Stąd wypływa, a raczej na tym tle należy roztrząsać pojęcie wolności.

Wolność w XIX wieku oznacza przede wszystkim wolność jednostki ludzkiej w przejawianiu swego życia osobniczego, emocjonalno-psychicznego, a więc wolność wypowiedzania się i „wyżycia”, jak również wolność swobodnego zrzeszania się w te czy inne grupy, dla osiągnięcia tych, czy innych potrzeb osobniczych.

Musimy tutaj przypomnieć słowa Nietzschego o wolności, że ważną jest wolność „do czegoś”, a nie „od czegoś”.

To czego się nie chce, negacja — powiedzmy — obowiązków, czy niechęć podporządkowania się przyjętym normom, stanowi bądź nie kulturalne a płytkie sobkostwo, bądź dążenie do złamania norm istniejących (rewolucja czy anarchizm).

Te sprawy pozostawimy jednak na boku, gdyż zaprowadziłyby one nas na inne tory, bądź na manowce ogólników.

Nam zależy na omówieniu sprawy wolności w jej przejawach pozytywnych, normatywnych, i wartości osiągnięć na tym polu dla układu państwowego.

Otóż ta wolność jednostki, jak i pochodząca od niej wolność zrzeszania się, wypowiedzania swych aspiracji (prasa), wprowadzania zmian ustrojowych bądź wpływania na bieg spraw i działalność rządu (parlament), musi być rozpatrzona przez nas pod kątem przydatności w układzie państwa dy-

namicznego dla realizowania nowych zagadnień, czy konieczności państwowych.

Tak wyraźne załamanie się linii XIX wieku podczas Wielkiej Wojny i po niej wynikało z nieprzydatności teorii przedwojennych do realizowania olbrzymich a nieznanych uprzednio zagadnień i dążeń, jakie cechują nowe czasy powojenne.

Więc nie o gloryfikację, czy poníženie wolności nam idzie, lecz o to, czy nie jest to pojęcie w naszych czasach muzealnym symbolem teorii martwej, dziś już zupełnie nieprzydatnej; bądź też o to czy wolność zachowała swą wartość użytkową w dziedzinie organizacji życia ludzkiego? Zastrzec się też musimy całkowicie, by nie stawiano naszych wypowiedzi na równi z płytkimi, naiwnymi frazesami o podporządkowaniu jednostki interesom narodu, grupy i t. p. Te bowiem pseudo-rozumowania wychodzą z przeświadczenia istnienia jednostki „an sich” czy „per se”, to znaczy wiary w wytworzenie się tych jednostek według jakichś praw, niezależnych od kultury i t. zw. środowiska.

Opieramy się w rozumowaniach naszych na możliwości wywierania wpływu na psychikę, obyczaje, a nawet fizjologię (na przykład — przez sporty) jednostki ludzkiej, przez wychowanie, pojęte oczywiście jak najszerzej. Wpływ taki można wywierać na jednostki i na kształtowanie oblicza odrębnego całych grup, a nawet i całego narodu historycznego, bądź też badanego w danym przekroju czasu.

W tym ujęciu wolność oznacza przede wszystkim prawo wyboru dla siebie oblicza kulturalnego. Tak również rozumiano prawo kształtowania psychicznego, a nawet fizycznego dzieci przez rodziców; pozostałością tego już dziś naiwnego poglądu są hasła, wysuwane przez niektóre zainteresowane grupy (kler). Mówić bowiem o wpływie rodziców, szczególnie w sferach mniej inteligentnych i beznaście zapracowanych, a co gorzej, zafrasowanych kłopotami, na kształtowanie oblicza dzieci wobec „przymusu” szkoły, kościoła, a w dynamicznych państwach — politycznego kierunku wychowania, — to na prawdę groteska, bzdura lub naigrywanie się z „maluczkich”.

Zresztą umiejętność wmawiania w „rodziców”, w większości zgoda nie pretendujących do tych „praw wychowawczych”, — to właśnie to „organizowanie głupoty”, które

*) patrz „Nauka na usługach państwa”, Nr. 2 (7) „Zaczynu”.

re to określenie tak bardzo nie spodobało się naszym partyjnikom.

Powracamy do wolności wyboru swego oblicza i oblicza tych, których chcemy kształtować.

Czy dzisiejsze czasy natężonej a zespołowej pracy pozwalają na dowolne „typy” psychiczne? Dla nas, państwowców, zaprzeczonych w konieczności państwowe, oczywiście nie. To nas zasadniczo dzieli od tych, co chcą dzielić wpływy na wychowanie, czyli kształtowanie obywateli, w pierwszym rzędzie młodzieży, pomiędzy państwo a jakie kolwiek inne grupy i organizacje. Różnimy się również zasadniczo od tych, którzy narzucają państwu jakie kolwiek poza państwowe obowiązki, idee czy zabarwienia emocjonalne (misje, tendencje, czy obowiązki grupowe i t. p.).

W najważniejszej tedy sprawie kształtowania oblicza duchowego jednostki teoria „wolności” nie nadaje się do użytku.

Sprawa ta jest dlatego tak wielkiej wagi, że pozostająca w związku z tą „wolnością” kulturalna zdobycz XIX wieku wywyższała poszczególnych jednostek ponad poziom przeciętny, wytworzenie wysokowartościowych jednostek pod względem etycznym i umysłowym, nie może być z lekkim sercem przekreślona przez myśliciela państwowego.

Ale w Polsce ta sprawa ma oblicze inne, niż na Zachodzie. W państwach zachodnich zamożnych i wolnych takie jednostki wyższego typu rekrutowały się przeważnie ze sfery specjalnie uprzywilejowanych i to na tle ogólnego dobrobytu materialnego i wysokiego poziomu ogólnej oświaty i obyczajowości. W krajach biednych, jak u nas w Polsce — te „wybrane” jednostki zamykały się w wieżach ze słoniowej kości, malpując prądy umysłowe i estetyczne, tworzone w krajach o wysokiej kulturze i wielkiej zamożności.

W Polsce mało zawdzięczaliśmy i zawdzięczamy tym „wybitnym” jednostkom, natomiast dużo płacimy za dyplomy i inne zewnętrzne oznaki tym, którzy uważają siebie i równych sobie za „jednostki”, którym

należy przyznać extra-prawa „wolności”, działania i sądu. Naprawdę jednak te przywileje sprawadają się do prawa nierówności i krytyki marginesowej, kawiarnianej, do niczego nie obowiązującej. Tym nie mniej nie wykreślamy z lekkim sercem pędu do wywyższenia się zdolnych jednostek, byle by brały one na siebie obowiązki większe, niż nakładane na przeciętnego obywatela.

Uważamy, że w wychowaniu państwowym trzeba będzie uwzględnić i kultywować ten „dorobek kultury”, lecz jednocześnie należy zużyć go dla spraw i potrzeb państwowych. To jednak nie przeszkadza przekreśleniu wolności wyboru dla siebie i swoich postawy wobec państwa i jego wygórow, a nawet wolności wyboru funkcji społecznej przez poszczególne jednostki choćby najwięcej uzdolnione.

Dysponowanie bowiem uzdolnieniami obywateli stale, a życiem ich na wojnie, musi być bezsporną prerogatywą państwa dynamicznego. Inaczej nie będzie ono w stanie realizować wielkich planów i zamierzeń, charakteryzujących przodujące dziś państwa, do szeregu których musi wejść Polska pod grozą utraty swej samodzielności.

Druga bardzo ważna „wolność” XIX wieku, głoszona pod hasłem: „laissez faire, laissez passer” (nie wtrącania się państwa), odnosi się do spraw gospodarczych. Doprowadziła ta „wolność” już w końcu ubiegłego wieku do najcięższej walki klasowej i do wielkich ograniczeń tej wolności gospodarczego stanowienia o sobie.

Dziś zakończeniem tej wolności gospodarowania jest przymusowe nałożenie wszystkich obywateli do zespołów gospodarczych we Włoszech, bądź też analogiczne bardzo uciążliwe restrykcje w Niemczech, i w innych krajach, dążących do gwałtownej waloryzacji gospodarczej swych krajów.

A dalej: wolność polityczna, która dziś w powszechnym mniemaniu, wiąże się z parlamentaryzmem, nie jest sama przez się zdolna uczynić cośkolwiek realnego dla ak-

tywnej życiowo jednostki. Sprawa ta jednak jak i parlamentaryzmu na tyle jest skomplikowana, że należy jej poświęcić odrębny artykuł.

Wolności typu emocjonalnego, jak wolność artystyczna, wyznaniowa i obyczajowo-etniczna, językowa i t. p., same przez się nie stanowiłyby przeszkód w układzie państwowym, gdyby ograniczały się do działania na terenie „wyżycia się prywatnego”. Lecz właśnie strona emocjonalna w życiu jednostek swoim zabarwieniem nadaje tę grę barw, która rzuca się w oczy i służy często za parawan czy odskocznik dla działalności politycznej różnych grup społecznych. Zabarwienie emocjonalne, i wzruszenia sympatii, przyciągania czy odpychania, powodują jednostki a szczególnie masę ludzką do wystąpień, często kolidujących z bezpieczeństwem publicznym, a nawet wprost skierowanych przeciw państwu.

Tę pobudliwość jednostek i ich zbiorów wyzyskują wszystkie partie polityczne i grupy społeczne w walce o wpływy polityczne. Stąd pośrednio nieraz ad absurdum przecenianie tych momentów pod względem politycznym i często zgola zbyt techniczne dla państwa wkraczanie w te dziedziny i angażowanie się w walkę zgola zbytęchną.

Gdy uda się unieszkodliwić grę partii politycznych na „instynktach” mas, śmiało będzie można pozostawić jednostkom ludzkim dorobek kulturalny XIX wieku — wolność osobistą w zakresie wzruszeń indywidualnych. Niestety, partie polityczne już oddawna zadają wiele ran nie gojących się, a może wprost śmiertelnych, tej wolności przejawów emocjonalnych.

Jedyna nadzieja w tym, że państwo dynamiczne, jakiego pragniemy dla Polski, po uporaniu się z najważniejszymi hierarchicznie sprawami, poświęci tej sprawie uwagę i środki, aby z rozwojem ogólnego poziomu oświaty i wychowania zapanaowała „wolność osobista”, tym razem pozabawiona możliwości szkodenia państwu, jak to bywało i w czasach przedrozbiorowych i w Polsce wskrzeszonej (11).

SENTYMENTY A ROZUMOWANIE

Poziom świadomości obywatelskiej ludzi nawet skądinąd inteligentnych jest u nas tak nie wysoki, że chcąc rozważyć pewne zagadnienia z zakresu systematycznej myśli państwowej musi się rozpocząć od rzeczy, które — wydawało by się — od dawna należało by złożyć w rekwizytorni truizmów.

Kogoś, kto by miał o tym poziomie zbyt dobre mniemanie, łatwo można by przekonać, że się gruntuje myli. Gdyby tak np. skierować do szerokich warstw obywatelskich — wyimaginujmy sobie na chwilę taką ankietę — pytanie o uzasadnienie ich stosunku do państwa, większość odpowiedzi brzmiałaby zapewne: „Kocham Polskę — i basta!”

To pięknie — ale... mało. W imię bowiem miłości Ojczyzny dokonywano nie raz w przeszłości i dokonywuje się i teraz — wcale znów nie tak rzadko — czynów szkodliwych dla państwa. Wiadomo doskonale, że właśnie nasze rodzime warcholstwo najgłośniej krzyczy o owym patriotyzmie, mimo — a może właśnie dlatego — że „wewnątrz jest puste”. Bo, żeby być dla państwa użytecznym i właściwie się doń stosunkować, to musi się przede wszystkim je rozumieć. Działając na oślep można przy najbardziej nawet zacnych chęciach przynieść nieraz więcej szkody, niż pożytku.

Sprawa przeraźliwie jasna! Ale od czego mur przesądów i zakorzenionych nawyków myślowych?! „Cóż to, pan będzie mnie patriotyzmu uczył?” — zachnie się bodaj każdy. — Otóż to właśnie — trzeba się patriotyzmu uczyć! Bajania o „wyssaniu go z mlekiem matki” i t. p. musi się

wreszcie umieścić w jedynie właściwym miejscu, w rupieciarni na strychu.

Wymowa bowiem faktów jest aż nadto dobitna. Jak to się dzieje, że wszyscy za pewniają gorąco o swym patriotyzmie — a nie mamy ostatecznie powodu odmawiać im w czambuł dobrej wiary — ale mimo to nie mogą osiągnąć porozumienia w najbardziej zasadniczych sprawach państwowych? Wręcz przeciwnie! Znany wszak powszechnie jest fakt, że właśnie wokół tych spraw grają najmocniej namiętności i temperamenty.

Wiadomo równie dobrze — na terenie ustawicznych sporów i rozbieżności jest niezmiernie doniosłe ściśle ustalenie też niewątpliwych, nie podlegających dyskusji, choćby to były nawet... truizmy — wiadomo, że głównym źródłem zamętu i dezorientacji politycznej społeczeństwa jest kierowanie się sentymentem i resentymentem w wyborze „poglądów” czy raczej — przekonań politycznych. Trudno szukać w szerokich warstwach społeczeństwa — krytycyzmu, nieuprzedzonego namysłu, trzeźwej rozważ, a cóż dopiero mówić o kompetencji, która zakłada nie tylko odpowiednio dyspozycje intelektualno-moralne, ale też i właściwy ich trening. Toteż emocje targają społecznością to w tę, to w ową stronę. Stąd nieobliczalność postępowania, zachowania się mas, stąd zaciętość i wrogość poszczególnych grup o odmiennych przekonaniach politycznych, stąd trudność — wręcz niemożliwość — dotarcia do mas społecznych przy pomocy wymaganej przez skomplikowany przedmiot — subtelnej argumentacji zdrowego rozsądku.

W takich warunkach — rzetelną prawdą jest pozorny paradoks, że kto agituje ostatni — ten ma rację. W takim też stanie rzeczy porozumienie w pewnych zasadniczych sprawach państwa — osób i grup wewnątrz państwowych o różnych przekonaniach politycznych jest z reguły niemal wykluczone. Brak przecież płaszczyzny, na której mogłyby się zetrzeć obiektywnie uzasadnialne tezy. Zestrzelić — co prawda — można nieraz uczucia czy instynkty mas wokół jednego hasła — soczewki, ale trwałość tej więzi społecznej przypomina bardziej lotność figur z piasku, niż monumentalność fortecy. Sentyment bowiem, jako dominanta i punkt wyjścia przekonań politycznych, jest niewątpliwie elementem raczej anarchizującym życie polityczne. Zapewne, nie występuje on nigdy w „czystej” postaci, odbarwiony od takich czy innych mizernych argumentów pseudo-racjonalnych. Operuje nimi zwłaszcza demagogia do woli, nadając często swym hasłom i frazesom kształt karkołomnych sylogizmów. Nie brak jednak — bądźmy sprawiedliwi — i takich propagatorów mitów politycznych, którzy otwarcie głoszą, że buduje się je z fałszów i fikcyj, przenośni i obrazów, że zasady konsekwencji nie można na tym terenie stosować.

Demagogia korzysta dla swych celów w pełni z tego, że sentymenty są busolą polityczną szerokich mas społecznych. Co więcej, twierdzi się, że ich głód mitów, jako „organiczny”, więc „koniecznościowy”, — musi się zaspokajać w ten właśnie sposób, tymi metodami, jak to czyni propaganda (czy raczej — granda) demagogiczna.

O zasadności recepty — mają świadczyć skutki jej stosowania. Demagogia polityczna chlubi się swymi rzekomymi sukcesami: garną się wszak tłumy do tych, którzy wiele obiecują i szumnie swe hasła reklamują. — Doraźne jednak efekty nie są ostatecznym sprawdzianem trafności obranej metody — najmniejszego oporu: przemawiania do instynktów mas, głoszenia hasł, które mają podnieść temperaturę emocjonalną do stanu wrzenia. Zapewne, rozsądek nie każe lekceważyć znaczenia emocyj w ogóle, a w życiu politycznym w szczególności. Szukając tu jednak — z konieczności — jakichś momentów stałych, trudno nie dostrzec kruchości budowy, wzniesionej na zmiennych falach emocyj mas. Odpyły bywają tu wszak równie gwałtowne i niespodziewane, jak przypływy.

To też ludzie odpowiedzialnie myślący — pamiętając o tym — muszą odrzucić ewentualność realizowania takich sposobów „utrwalania” więzi państwowej.

A chcąc się wydobyć z chaosu, do którego nieuniknienie prowadzi subiektywizm sentymentów i resentymentów, sympatii i antypatii politycznych, należy się zwrócić w kierunku obiektywnie dających się ustalić poglądów. Wbrew bowiem pospolitemu mniemaniu — i w zakresie zapatrywań politycznych jest miejsce na poprawne rozumowanie. Konieczne jest tylko przyjęcie pewnych założeń — możliwie najbardziej oczywistych, — których nikt rozsądny nie może negować. Wystarczy właściwie samo założenie: konieczność istnienia

państwa. (Eliminuje się tedy eo ipso wszystkie mętne koncepcje anarchistyczne). Interes państwa wymaga niewątpliwie współdziałania wszystkich obywateli. (Por. np. art. 9 konstytucji kwietniowej: „Państwo dąży do zespolenia wszystkich obywateli w harmonijnym współdziałaniu na rzecz dobra powszechnego”). Nie masz zaś współdziałania bez wzajemnego porozumienia. A to osiągnąć można jedynie przez sensowne rozważanie poglądów politycznych.

Pierwszym krokiem do tego celu jest ustalenie terminów możliwie jasnych i jednoznacznych. W przeciwnym bowiem razie grozi ustawiczne grzęznięcie w bagnie mętności i mgławicowości. Operując w ramach przyjętych założeń sprecyzowanymi terminami przechodzimy od konstrukcji podstawowych do bardziej szczegółowych, odrzucając olbrzymi, od wieków narosły, a tak bardzo uciążliwy balast sprzeczności. Może nam bowiem służyć — zasada konsekwencji.

Przyjmując jednak tezę, iż jest miejsce na poprawne rozumowanie w zakresie poglądów politycznych, nie twierdzi się bynajmniej tym samym, że należy się starać o wyrugowanie — byłby to oczywisty nonsens dążenia do realizowania niemożliwości — otoczki uczuciowej. Idzie jedynie o takie jej krzewienie, by pięła się wokół niezbitego rusztowania jasnego rozumienia zagadnień państwowych. Z tego bowiem, że do nikogo nie można mieć pretensyj o to, że ma takie czy inne sentymenty polityczne nie wynika wcale, by prymitywne „podoba się... — nie podoba się...” miało rozstrzygać

jako ostateczny sprawdzian przyjęcia czy odrzucenia wyników wysiłku intelektualnego w zakresie poglądów politycznych. Mamy tedy na myśli nie eliminowanie sentymentów na rzecz rozumowania, lecz ustalenie właściwych proporcji tych elementów. — O tym więc jeszcze parę uwag.

Trwała i mocną więź państwową zyskać można jedynie przez wniknięcie i przemyslenie przez szeroki ogół obywatelski — zadań i funkcji państwa. Orientacja w zasadniczych, elementarnych bodaj zagadnieniach państwowych uzbraja obywateli w odporność wobec hasł krzykliwej demagogii i nieodpowiedzialnego warcholstwa. Uświadomienie obywatelskie — to również odpowiedzialni grunt pod krzewienie właściwego nastawienia uczuciowego jednostki do państwa. Rozumiejąc, co to jest państwo, wmyślając się w jego rolę i znaczenie, obywatel przywiązuje się do państwa coraz głębiej, stosunek ten staje się — bardziej serdeczny. Nic dziwnego. Indyferentyzm wszak — *ex definitione* — zanika z chwilą, kiedy państwo staje się przedmiotem zainteresowania poznawczego. „Teorie” anarchistyczne zaś szerzyć się mogą jedynie na terenie daleko posuniętej ignorancji w zakresie nauki o państwie i — braku krytycyzmu.

Tak więc rozumienie państwa prowadzić i sprowadzić może wyłącznie do ustosunkowania się wybitnie pozytywnego. Tą tylko drogą rozbudzone emocje mogą mieć cechę stałości, pozostać w stanie równowagi. Stawiają zatem dla działalności, kierującej się rozsądkiem politycznym, właściwy punkt dojścia. (119)

KAPITAŁ ZAGRANICZNY

Dużo pisało się u nas na temat kapitału zagranicznego. Nawet można powiedzieć, że opracowano starannie systematykę „pozyteczny”, „szkodliwy”, „klusowniczy”, „zdrowy”, „kolonialny”, „lojalny”, „rabunkowy”, „wrogi” i t. d.

Kończyło się zawsze na kompromisach i dogadaniu się. Ileż to stronnictw i partii w Polsce rozpoczynało swą działalność oświadczaniem, że walczy z kapitałem zagranicznym! A krajowi kapitaliści, gdy wysuwano argumenty przeciwko zagranicznemu kapitałowi, skwapliwie korzystali z okazji wrzeszcząc w niebogłoso: „a widzicie, nie podcinajcie naszej krajowej kapitalizacji, niech państwo nie pobiera takich podatków, to będzie krajowy kapitał”. — Czekaj tatka latka! A tymczasem doskonała symbioza zapanała pomiędzy krajowym i zagranicznym kapitałem, o czym niżej.

Zastrzeżemy się na początku. Bywają sytuacje przymusowe w danym ustroju gospodarczym. Bywa czasem państwo zmuszane do korzystania z kredytu zagranicznego. Ale dwie są różne rzeczy: zaciągany przez państwo kredyt zagraniczny, a przedsiębiorczy kapitał zagraniczny. Kredyt zagraniczny wszedł do kraju, z tego tytułu płaci się procenty i raty amortyzacyjne i tu kończy się zainteresowanie zagranicy. Taki kredyt gra rolę abstrakcyjną. Inaczej jest z kapitałem zagranicznym, gdy wchodzi do kraju otoczony murem chińskim koncesyj i przywilejów, witany chlebem i solą, namaszczany przez różnych kierowników resortów gospodarczych jakąś misją. Po uroczystościach wstępnych rzuca się do wszystkich komórek życia gospodarczego, opanowuje je i rządzi bez jakiegokolwiek liczenia się z naszą racją stanu polityczną, społeczną, a cóż dopiero z militarną. Dużoby się dało na ten temat powiedzieć.

Zbadajmy cyfrowe oblicze zagadnienia, stopień penetracji kapitału zagranicznego w nasze życie gospodarcze i ocenmy jego znaczenie dla państwa.

U nas w kraju, gdzie prowadzi się niemal statystykę westchnień, prowadzi się bardzo skromną statystykę tych zjawisk jakgdyby

naumyślnie i celowo ukrywano te sprawy pod korcem. W „Małym Roczniku Statystycznym” (dalej w skrócie M. R. S.) są tylko dwie tabele, poświęcone statystyce kapitału zagranicznego. W dodatku statystyka ta obejmuje tylko spółki akcyjne. Co prawda, kapitał zagraniczny wybiera przeważnie tę formę organizacyjną.

Otóż okazuje się, że w końcu r. 1934 (M. R. S. r. 1936) mieliśmy 1.123 spółki akcyjne krajowe, z których 481 czyli 42,8% posiadało kapitały zagraniczne. Lecz to nie wszystko. Niezależnie od tego na terenie Polski działało w tym czasie 46 spółek zagranicznych o kapitale wyłącznie zagranicznym. Jednak liczba spółek nie odzwierciedla w sposób wystarczający stopnia opanowania życia gospodarczego Polski przez kapitał zagraniczny. Sięgnijmy do statystyki kapitałów zakładowych. I tu musimy się zastrzec, że statystyka ta nie odzwierciedla również stopnia aktywności zagranicznego kapitału, gdyż obroty przedsiębiorstw w małym stopniu zależne są od posiadanego kapitału. Można przy małym kapitale robić duże obroty gospodarcze, można uzupełniać kapitał zakładowy kredytem długoterminowym. Naogół przedsiębiorstwa z kapitałem zagranicznym są u nas bardziej „obrotne”, niż przedsiębiorstwa krajowe, oparte na krajowych kapitałach.

Suma kapitałów zakładowych i rezerwowych wszystkich spółek w Polsce (zarówno krajowych, jak i zagranicznych) wynosiła na koniec 1934 r. 4.237,7 mil. zł., z czego kapitały zagraniczne sięgały 2.161,2 mil. zł., czyli dokładnie 55%. Podczas gdy na jedną spółkę bez udziału kapitału zagranicznego przypada przeciętnie 3,2 mil. zł. kapitału, w spółkach mieszanych (krajowy z zagranicznym) przypada 3,8 mil. zł., a w spółkach zagranicznych aż 6,8 mil. zł. Widzimy z tego, że kapitał zagraniczny dąży do okupacji największych przedsiębiorstw, które decydują o całych gałęziach życia gospodarczego. A dalej. Dąży on do posiadania w spółkach mieszanych większości akcji, by mieć całkowitą decyzję. Lecz statystyka ta jest mało uchwytana.

Zestawmy teraz obraz opanowania przez kapitał zagraniczny podstawowych gałęzi naszego życia przemysłowego. Obraz ten jest naprawdę zastraszający. W stosunku do ogółu kapitałów akcyjnych, czynnych w niżej wymienionych gałęziach działalności gospodarczej, odsetek kapitału zagranicznego był pod koniec roku 1934 następujący:

górnictwo i hutnictwo razem . . .	76,2%
w tym górnictwo ponad . . .	67,4 „
w tym hutnictwo ponad . . .	82,5 „
a górnictwo naftowe ponad . . .	93,3 „
przemysł chemiczny ponad . . .	70,1 „
gaz, woda, elektryczność ponad . . .	82,4 „
ubezpieczenia	59,9 „
handel towarowy	49,9 „

Pominęliśmy w tym zestawieniu inne gałęzie przemysłu, w których udział kapitału zagranicznego nie przekracza 40%. Może niesłusznie, bo przecież jeżeli udział kapitału zagranicznego np. w przemyśle metalowym wynosi 35%, potrafi on w sposób decydujący kontrolować ten przemysł drogą opanowania hutnictwa i górnictwa. Zresztą z tych 35% może łatwo stworzyć większość 70% kapitału w połowie wszystkich przedsiębiorstw przemysłu metalowego, skartelizować je i dyktować warunki reszcie przedsiębiorstw, gdzie jest w mniejszości, lub wcale go nie ma.

Widzimy jasno z tego ogólnego zestawienia, że kapitał zagraniczny opanował eksploatację podstawowych źródeł surowców przemysłowych — górnictwo, a pochodnymi górnictwa są: gospodarka energetyczna (węgiel, ropa), budownictwo (węgiel, cement) i inne gałęzie życia gospodarczego, oparte na górnictwie, jak np. decydujący o całości procesów inwestycyjnych przemysł metalurgiczny. Drugą fazą kontroli całokształtu procesów gospodarczych jest hutnictwo, które jest decydującym kluczem pozycji w nowoczesnym przemyśle. Przemysł chemiczny, opanowany przez kapitał zagraniczny w 70% pozwala mu kontrolować tę podstawową gałąź przemysłu, dostarczającą materiałów pomocniczych do wielu przemysłów. Przedsiębiorstwa użyteczności publi-

cznej, a najważniejsze z nich elektrownie, są w 82,4% w rękach zagranicznego kapitału. Cóż dopiero mówić o tele- i radiotechnice, o telefonii i t. p.

Samo opanowanie przez kapitał zagraniczny przedsiębiorstw od strony finansowej otwiera mu szeroką drogę i wiele sposobów wpływu na nasze życie gospodarcze w wielu płaszczyznach. W ślad za wpływami finansowymi obcych dysponentów idą wielorakie wpływy, że wymienimy najważniejsze. A więc: import zbędnych dla nas surowców, półfabrykatów, maszyn i narzędzi, które mogą być wydobyte lub wyprodukowane w kraju. Kapitał zagraniczny bowiem skwapliwie unika nie rentownych dla niego inwestycji i woli wykorzystywać inwestycje już powstałe w innych krajach, by po cenie tańszej (zrozumiałe!) zaopatrywać swe przedsiębiorstwa w surowce, półfabrykaty i maszyny pochodzenia obcego. Dzieje się to częstokroć wbrew naszym interesom militarnym posiadania samowystarczalności na wypadek wojny. Oprócz tego w ślad za kapitałem zagranicznym przybyszą kohorty wykwalifikowanego personelu technicznego i administracyjnego, i to nie po to, by do kształcać naszych fachowców, ale by za zdrośnie strzec swych tajemnic, (a często i zdobywać nasze tajemnice). W ślad za kapitałem idzie fala obcej wynalazczości: patenty, licencje etc., za które drogo płacimy, rezygnując z popierania własnej twórczości w tym kierunku.

Macki kapitał zagraniczny sięgają do wyższych uczelni technicznych, gdzie częstokroć są obsadzone przez jawnych lub ukrytych ambasadorów zagranicznego kapitału. Skutki tego są dobrze znane naszym młodym państwowcom, studiującym na politechnikach.

Cóż dopiero mówić o wpływach ambasadorów kapitału zagranicznego w naszych wyższych uczelniach gospodarczych, w naszej ekonomice oficjalnej, półoficjalnej i wśród sfer samorządu gospodarczego.

Krajowi ekonomiści są w lwiej części przedstawicielami międzynarodówki wolnych obrotów gospodarczych, stale podkreślają oni, że nie wolno płoszyć kapitału zagranicznego, bo to jest wielkie dobrodziejstwo dla kraju. To też otaczany on jest przez czynniki oficjalne niebywałą kurtuazją. Politycy bowiem tłumaczą, że kontrola kapitału zagranicznego i ingerencja państwa w jego sprawy może być w mniejszym lub większym stopniu... *causa belli*... Teorię tę chętnie użytkuje kapitał zagraniczny. Pod skrzydłami zagranicznych protektorów, możliwych przedsiębiorstw z kapitałem zagranicznym, organizuje się chętnie ubogi kapitał krajowy. I nieźle całkiem na tym wychodzi, bo u nas rozciągnięto na kapitał zagraniczny jakiś niemal dyplomatyczny immunitet, eksterytorialność i nietykalność.

Spodziewano się u nas od takiej polityki jakichś niezwyklej wyników gospodarczych i rozkwitu, a w rezultacie jaki z tego skutek?

W siedmiolecie 1928 — 1934 r. państwo, samorządy, przedsiębiorstwa i osoby prywatne otrzymały z zagranicy kredytów długoterminowych (i kapitałów) razem 1.610 mil. zł., a spłaciły 1.164 mil. zł., co daje saldo dodatnie tylko 446 mil. zł., a w tym samym czasie wywiezione za granicę korzyści majątkowe kapitału zagranicznego pod postacią odsetek, dywidend i t. p. ok. 2.195 mil. zł. Oto „wspaniałe” wyniki chuchania i dmuchania na kapitał zagraniczny, oto skutki stosowania kurtuazji i kołysankowej polityki względem zagranicznego kapitału.

Od wielu lat kierunek polityce gospodarczej państwa w Polsce wyznaczają sfery gospodarcze. Powstaje pytanie, dlaczego krajowe sfery gospodarcze już nie przez patriotyzm — bo trudno robić analizę chemiczną ich sumienia i parać się pytaniem, ile w ich działalności jest patriotyzmu, a ile chęci zysku — dlaczego te sfery przez sam interes walki z konkurentem przemilczają

sprawę kapitału zagranicznego? Są na to dwie proste, a jakże ważne odpowiedzi:

1) ingerencja państwa w bagno kapitału zagranicznego byłaby pośrednio precedensem przykrym na przyszłość dla krajowych kapitałów, a bezpośrednio — otwierałaby przez liczne i ścisłe koligacje z kapitałem zagranicznym drogę do kontroli ich samych przez państwo;

2) istnienie w Polsce i przyływ kapitału zagranicznego jest dla krajowych kapitalistów uniwersalnym piorunochronem dla obrony tak zw. „praworządności gospodarczej”. Wyjaśnijmy to. *Kapitał zagraniczny przychodził do nas z krajów bogatych o gospodarcze liberalno-kapitalistycznej, czyli klasycznej i wymagał tej samej klasyczności gospodarczej i liberalizmu w Polsce ze wszystkimi nieodzownymi dla niego, a i także uciążliwymi dla państwa i szerokich mas społecznych, akcesoriami, jakimi są: wolność obrotów pieniężnych i towarowych z zagranicą, klasyczny system walutowy, i absolutna klasyczność całokształtu gospodarki, brak ingerencji państwowej, łagodność śruby podatkowej na modłę państw bogatych. Kapitał zagraniczny w ten sposób stabilizował i wykreślał kierunki naszej myśli i polityki gospodarczej w duchu bardzo liberalnym, co na rękę jest również krajowym sferom przemysłowym. Przypomina to w dziedzinie polityki zagranicznej klasyczny przykład Targowicy, gdy szlachta interweniowała zagranicą o zachowanie w Polsce jej przywilejów wolnościowych.*

Takie związanie życia gospodarczego wy-
mogami pochodzącymi z zewnątrz, dykto-

wane przez kapitał zagraniczny, wykluczyło w Polsce niezbędne posunięcia polityki państwowej w kierunku samodzielnego planu gospodarczego, oryginalnego systemu walutowego, przystosowanego do naszych potrzeb, własnej polityki surowcowej i inwestycyjnej. Ta przymusowa sytuacja pogłębiła u nas kryzys przez uzależnienie nas od kryzysu w państwach bogatych, powiązanych z nami przez kapitał zagraniczny. O tej stronie kapitału zagranicznego znacznie bardziej niebezpiecznej niż doraźne, najbardziej nawet rabunkowe, szkody, wyrządzane przez kapitał zagraniczny w Polsce, u nas się nigdy jeszcze nie mówiło.

A dalej: sprawa kapitału zagranicznego w Polsce ma niebezpieczne oblicze polityczne. Przede wszystkim zaś od strony samowystarczalności gospodarczej państwa i przygotowania go do obrony. Rzeczy te są ogólnie zrozumiałe.

*

Przy układaniu państwowego planu gospodarczego należy poddać rewizji nasz stosunek do kapitału zagranicznego, należy dążyć do zupełnej likwidacji wpływów kapitału zagranicznego na nasze życie gospodarcze i jego konsekwencji politycznych w wielu dziedzinach życia państwowego. Musi nastąpić cofnięcie danych mu przywilejów, musi być rozluźniona sieć jego kontroli, rozciągana nad naszą gospodarką, techniką, polityką i myślą gospodarczą. Winna być przeprowadzona „czystka” wśród jego płatnych i bezpłatnych agentów. Winna być dokładnie zdana sprawa ze stopnia jego wrogości. (77).

POMOC ZIMOWA W NIEMCZECH

Przy studiowaniu organizacji pracy w Niemczech należy zapoznać się z trzema największymi instytucjami obecnego ustroju, a mianowicie: organizacją frontu pracy zwanego po niemiecku „Arbeitsfront”, narodowej opieki społecznej łącznie z pomocą zimową „Volkswohlfahrt”, i służbą pracy — „Arbeitsdienst”.

Zresztą dla każdego chcącego mieć chociażby tylko ogólne pojęcie o zagadnieniu pracy w Niemczech — znajomość tych trzech instytucji jest niezbędną.

Będziemy tu mówili o pomocy zimowej t. j. o jednej z licznych prac wymienionych instytucji.

Pomoc i opieka społeczna w Niemczech jest dwojakiego rodzaju: pomoc i opieka społeczna ustawowa t. j. świadczona przez państwo i samorządy, oraz dodatkowo zorganizowana narodowa opieka społeczna, świadczona bezpośrednio przez społeczeństwo.

Dodatkowa opieka społeczna zorganizowana i prowadzona jest przez instytucję zwaną „Volkswohlfahrt”, co jest równoznaczne z polską nazwą narodowa opieka społeczna.

Instytucja ta, to właściwie zrzeszenie, gdyż podstawą jej bytu jest przede wszystkim olbrzymia bo ponad 5½ miliona licząca rzesza członków, opłacających miesięczne składki. Wstąpienie do organizacji jest dobrowolne. Najmniejsza składka miesięczna wynosi 50 fenigów. Każdy członek posiada legitymację członkowską jak w każdym związku.

Zrzeszenie narodowej opieki społecznej posiada bardzo duży i dobrze zorganizowany aparat biurowy z centralą w Berlinie. Sieć komórek organizacji ogarnia wszystkie okręgi, powiaty, miasta, gminy i większe miejscowości.

Zakres działalności narodowej opieki społecznej jest niezwykle szeroki i obejmuje 7 dużych działów pracy:

Towarzystwo Pomocy Zimowej — nazywane po niemiecku „Winter-Hilfswerk Deutschen Volkes”. Towarzystwo Pomocy Matka i Dziecko — zwane „Hilfswerk

Mutter und Kind”, Towarzystwo Pomocy Tuberculeznej, akcja wysyłania na kolonie dorosłych i dzieci, akcja pielęgnarska, akcja pomocy w urządzaniu mieszkań i przesiedlaniu, akcja pomocy dotkniętym klęskami, jak: powódź, posucha, gradobicie, epidemia i t. p.

Jak widzimy, zakres działalności instytucji obejmuje całą opiekę i pomoc potrzebną biednemu człowiekowi. Akcja prowadzona jest przez cały rok. Pomoc zimowa jest więc tylko jedną z 7-miu dużych prac narodowej opieki społecznej.

Największymi i najważniejszymi z pośród wymienionych zagadnień są dwa: pomoc zimowa i pomoc matce i dziecku.

Jakkolwiek towarzystwo pomocy zimowej mieści się w ramach organizacyjnych narodowej opieki i całą swoją pracę wykonuje za pomocą jej aparatu, to jednak towarzystwo to istnieje prawie samodzielnie. Akcja pomocy zimowej była wcześniej zorganizowana niż narodowa opieka społeczna.

Pierwszą pomoc zimową na dużą skalę zorganizowali narodowi socjaliści w 1933 roku na wyraźny rozkaz Hitlera, który brzmiał: „nikt nie może w ciągu zimy marznąć i nikt nie może głodować”. Rozkaz był wydany 16 września 1933 r. a pomoc zimowa w Niemczech normalnie rozpoczyna akcję już od 1 października.

Do zorganizowania całej pracy, uruchomienia zbiórki ofiar i wreszcie rozpoczęcia normalnej pomocy pozostało zaledwie 14 dni. Przed organizatorami stało zadanie wielkie i trudne, o czym świadczą słowa głównego kierownika pomocy zimowej a zarazem głównego kierownika narodowej opieki społecznej — Hilgenfelda. W przemówieniu wygłoszonym w grudniu 1935 r. powiedział, że po otrzymaniu od Hitlera rozkazu zorganizowania akcji nie było nawet danych, ilu jest naprawdę potrzebujących pomocy, a tym bardziej nie było dokładnie wiadomym, gdzie ci potrzebujący są rozmieszczeni i jakiej pomocy potrzebują. W tym celu należało, jak powiedział

kierownik Hilgenfeldt, dokonać gruntownej analizy i spisu potrzebujących pomocy oraz analizy struktury gospodarczej państwa, aby móc w przybliżeniu ustalić, skąd można się spodziewać ofiar i jakich — pieniężnych czy towarowych, a jeśli towarowych to również jakich, skąd i ile.

Następnie, jako trzecie zadanie, była praca organizacyjna i zbiórkowa oraz propaganda. Kierownik Hilgenfeldt oświadczył wyraźnie w swoim przemówieniu, że organizatorzy zdawali sobie sprawę z następujących momentów: z wielkich trudności jakie stały na drodze do celu, z krótkiego terminu i z tego, że rozkaz Hitlera musi być nie tylko wykonany, ale dobrze wykonany.

Rozumiano i to również, że do wykonania zadania potrzebne są bardzo duże środki, a do zebrania ich koniecznym jest zrozumienie akcji i ofiarność całego społeczeństwa. Należało więc, w pojęciu organizatorów, uświadomić i rozbudzić naród do wielkiej ofiarności, całą akcję propagandową, zbiórkową i rozdzielczą tak zorganizować, by administracja kosztowała jak najmniej a przez to jak największą ilość ofiar skierować na bezpośrednią pomoc biednym. Do tego celu koniecznym było również rozbudzenie ofiarności narodu do bezpłatnej współpracy w akcji. Tu wychodzono z założenia, że skoro społeczeństwo będzie świadczyło, to powinno i musi mieć wpływ na pracę i jej wyniki. Masową współpracę społeczeństwa uznano za niezbędną. Z drugiej strony tak organizowano akcję, by społeczeństwo prócz składania ofiar miało możliwość współpracy i kontroli.

Przy rozbudzaniu ofiarności społeczeństwa pamiętano i o drugim równie ważnym

zagadnieniu, które w takim stopniu jak i ofiarność stanowi o wykonaniu zamierzonego zadania, — t. j. o dobrej i sprawnej organizacji całej akcji. Albowiem dobra i sprawna organizacja w ich pojęciu była i jest gwarancją dobrego rozgospodarowania ofiar i to w odpowiednim czasie. A więc dobra i sprawna organizacja prowadziła właściwie do celu w tej akcji. Akcja zbiórkowa i ofiarność były środkiem do celu.

Również wyraźnie powiedział kierownik Hilgenfeldt w swoim przemówieniu: „Zdawali sobie sprawę, że w akcji tej nie ma miejsca na popełnianie błędów i że tu nie można płacić gapowego”.

Organizatorzy przystąpili do organizowania pomocy zimowej z silną wiarą w ofiarność społeczeństwa i z głębokim przekonaniem do akcji, z pełną świadomością tej pracy, oraz z dużą umiejętnością.

Po otrzymaniu bowiem rozkazu od Hitlera niezwłocznie ściągnięto najlepszych fachowców w państwie z dziedziny finansowej, ekonomii, zaopatrzenia i t. p.

Tak pomyślana i zorganizowana akcja rzeczywiście zaczęła działać już od 1 października 1933 r. t. j. w 14 dni po otrzymaniu rozkazu.

Wielki wysiłek społeczeństwa niemieckiego, do którego wciągnięto wszystkich, mogących przyjść z jakąkolwiek pomocą, wszystkie organizacje partyjne, społeczne i kościelne, dał w wyniku w pierwszym roku akcji ponad 358 milionów marek.

Ten wysiłek nie został zmarnowany, bo w ciągu zimy 1933 r. udzielono pomocy około 17 milionom obywateli. I naprawdę nikt nie był zmuszony marznąć ani głodować.

Pomimo dużej pomocy całej partii wraz z biurem sztabu partyjnego i pomocy rządu — wysiłek organizatorów musiał być bardzo duży skoro w ciągu 14 dni zdołali zorganizować i uruchomić pomoc zimową.

Akcja pomocy prowadzona jest przez cały rok a tylko w okresie zimy, t. j. od 1 października do 1 kwietnia, nabiera szczególnego nasilenia w zbiorce ofiar i udzielaniu pomocy. Hitler po zapoznaniu się z wynikami pomocy pierwszego roku polecił stałe jej prowadzenie.

W akcji biorą udział wszyscy: robotnik, chłop, urzędnik, kupiec, przemysłowiec i młodzież — całe społeczeństwo.

Dużo świadczą na pomoc zimową przemysł i kupcy — w formie gotówkowej i towarowej. Z pomocy korzystać może każdy bez różnicy przekonań politycznych i narodowościowych, a więc również cudzoziemcy i żydzi. Korzystającemu z pomocy dodatkowej nie jest wstrzymywana pomoc ustawowa, świadczona przez państwo lub samorząd, jeśli potrzebujący z niej korzysta lub ma do niej uprawniony.

Dotychczasowe wyniki z ubiegłych 3 lat świadczą dobitnie, że w akcji pomocy zimowej bierze udział całe społeczeństwo. Hasłem jest solidarność społeczeństwa niemieckiego. Dla określenia powszechności akcji pomocy zimowej można powiedzieć, że obejmuje ona wszystkich i wszystko. W ciągu 3 lat zebrano ponad miliard dwieście milionów marek. Koszta administracyjne wynoszą nawet nie cały 1%!! Rząd narodowo-socjalistyczny jest dumny z tych wyników pomocy zimowej, którą mocno i pięknie nazwano dziełem pomocy zimowej narodu niemieckiego. (213)

L I S T Z F R A N C J I

W lutym, 1937.

Bardzo wiele się czyta artykułów o Francji. Nie ma prawie dnia, by gazety nie przyniosły wiadomości o tym lub innym posunięciu rządu, o takiej lub innej postawie opozycji. Każda uchwała parlamentu, każdy strajk jest żywo komentowany przez prasę wszelkich odcieni. Jednakże trudno jest zdać sobie sprawę z rzeczywistej sytuacji tego kraju. Bo też mówią nam, że stał się on siedliskiem czerwonej zarazy, że podstępni agenci świadomie pchają rzesze ogłupionych rentierów do wojny, że znieprawdzeni etranżerzy ze wschodu rozbili namioty nad Sekwaną. Inni znowu obwołują zwycięstwo i trąbią na cztery strony świata, że wreszcie w kraju wina i małomównych kobiet zapanowała sprawiedliwość społeczna, że wolność, że swoboda demokratyczna.

Może dlatego właśnie, że każdy stara się wyzyskać obecną sytuację dla partyjnych celów, oslepiając wyolbrzymianiem jej blasków, budząc uśmiech niewiary rozszerzaniem jej czarnych stron, tak wielki chaos przedstawia się oczom widza niezaangażowanego w walki stron.

Poprawa gospodarcza jest niewątpliwa. Zaznaczyła się pierwszy raz wyraźniej, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, w okresie świąt Bożego Narodzenia. Jakże charakterystyczny, nawiasem mówiąc, jest ten pęd do rozrywki, do kupna choćby najmniej pożytecznego prezentu, dla ludzi którzy ledwo odetchnęli po przynębiających latach kryzysu. Szczelnie zapelnione sale kin, teatrów, restauracji, tłok w wielkich magazynach dobitnie potwierdzały tę prawdę. Malkontenci, załamywali ręce, widząc w tych objawach poprawy chęć oszołomienia się, szukanie ucieczki przed losem, którego ciężaru nie da się dłużej dźwigać. Więcej nawet, biadali nad zanikiem zmysłu oszczędności tak właściwego Francuzom, stanowiącego podstawę dobrobytu całego kraju.

Jednak poprawę gospodarczą potwierdzają cyfry wyglądające poważniej, choć skromniej, niż stosy wypitych butelek. Eksport w ciągu ostatnich pięciu miesięcy 1936 r. wzrósł o 21% w stosunku do tego samego okresu z 1935 roku; ilość załadowanych wagonów powiększyła się o 8,2%; handel otrząsnął się z marazmu; spadła liczba upadłości; samochodów sprzedaje się prawie o 50% więcej niż przed rokiem.

Czuły na wahania koniunktury, wskazywał bezrobocie oddział natychmiast. Nie znaczy to by bezrobocie gwałtownie malało: z czterystutysięcznej armii ubyłoby w ostatnich miesiącach roku zaledwie pięć tysięcy ludzi. Ale gdy zważyć, że z nadejściem zimy, z zahamowaniem ruchu budowlanego i robót ziemnych kilkadziesiąt tysięcy robotników znajduje się zwykle bez pracy, gdy przypomnieć sobie że w 1935 roku od sierpnia do grudnia przybyło bezrobotnych prawie 60 tysięcy, i na tym polu poprawa wyda się niewątpliwą.

Czy jest ona zasługą rządu? Trudne pytanie. Olbrzymia większość obywateli nie zastanawia się nad nim. Ważniejsze znaczenie jest korzystanie z chwili obecnej, by ta upragniona poprawa nie okazała się chwilową, by nie wróciły znów lata beznadziejnej wegetacji. Dość politykowania! Za obecnego rządu poprawa przyszła. Obojętne czy dzięki niemu. Od uczonych rozpraw są uczeni ekonomiści. Dość na tym, że jej widocznie nie przeszkadzał. A to już bardzo wiele dla zwykłego, prywatnego człowieka pragnącego pracować w spokoju.

Nie tak dawno temu strzelano na ulicach Paryża. Nie ma pół roku jak fala strajków rozlewając się po Francji groziła klęską całemu krajowi. Statystyki styczniowe Ministerstwa Pracy oznajmiły, że pozostaje 6 tysięcy strajkujących. Wielki to sukces. Spowodował go zapewne fakt, że łatwo do strajku namówić ludzi, którzy wiedzą że niebawem stracą pracę, którzy widzą jak

jedna po drugiej fabryki zamykają bramy — trudniej gdy napływają zamówienia, maszyny idą w ruch i każdy czuje się żywym i potrzebną częścią wielkiej społeczności.

Ale i zasługa rządu jest bezsporna. Nie tylko dlatego, że premier dał robotnikom 40 godzinny tydzień pracy, nie tylko dlatego, że wprowadził urlopy w fabrykach, ale przede wszystkim dla tego, że nie dając się sprowadzić na czerwone manowce, ustanowił przymusowe arbitraż, którym strony muszą się bezapelacyjnie poddać. Dlatego że, stawiając sprawę jasno, pokazał swą energię i zdecydowaną wolę rządzenia, która, o czym zbyt wielu zapomina, jest jednak funkcją rządu.

Ogólny wzrost zaufania do rządu w kraju, wyczuła doskonale zagranica. Angielski Times konserwatywny i kapitalistyczny dziennik, którego nie można posądzić o zbyt lewicowych sympatii, pisał niedawno, że rząd p. Bluma „zdobył sobie zaufanie dużej większości Francuzów”.

Świadectwo to lepiej niż peany pochwalne dzienników lewicowych, daje nam obraz obecnej sytuacji.

Zdali sobie z niej sprawę komuniści. Aktywność ich ostatnio jakby przycichła. Uspokoił się trochę, mimo alarmów prawników. Fakt to znamienity. Gdy p. Leon Blum obejmował władzę, mało kto wierzył, że potrafi ją utrzymać. Najmniej chyba wierzyli w to komuniści. Marzyli sami, że połączwszy się z socjalistami dla wyborów, potrafią wyzyskać wewnętrzne wścieklizny polityczne i objąć ster rządów; pieścił ich przekonanie, ledwie się z nim kryjąc, że to początek rewolucji, która wprowadzi nowy ustrój. Nie myśleli przecież w żadnym razie, że stan obecny się utrzyma. Już raczej przewidywali przegraną po kilku krótkich tygodniach lub miesiącach. Tak jedna i druga ewentualność pobudzały do intensywniej propagandy. W pierwszym wypadku by przyspieszyć chwilę własnego zwycięstwa, w drugim by chociaż uczynić

z niespodziewanego trochę, a przejściowo go sukcesu, wielką manifestację, narzędzie propagandy, które pozwoli za jakiś czas znowu sięgnąć po władzę.

Stało się inaczej. Strajki opanowane silną ręką premiera ustały prawie zupełnie. Nie dało się także nakłonić pokój miłujących Francuzów do krucjaty przeciw faszyzmowi.

Mimo wszystko pozostała rzeczywistość: rząd który „zdobył” uznanie dużej większości Francuzów”. Wicherzyć przeciw niemu, łaskawie mu używać oficjalnego poparcia, a stwarzać mu trudności i kłopoty wszędzie gdzie się tylko da — to budzić do siebie niechęć wszystkich sklepikarzy cieszących się zwiększonymi obrotami, wszystkich robotników mających pracę, wszystkich obywateli.

To też komuniści przywarowali, czekając lepszej sposobności, a tymczasem starając się, by część powodzeń rządu została zapisana na ich konto.

Niezmiernie ciekawy jest stosunek poczynañ rządu do jego haseł społecznych. Oczywiście premier na każdym kroku podkreśla charakter lewicowy swojego gabinetu. Ale przypatrzmy się bliżej faktom.

Socjaliści sprzeciwiali się przez długi czas dewaluacji, mało tego, nazywali ją zamachem stanu, więcej jeszcze! pośród swych haseł wyborczych wypisali utrzymanie waluty. Stanowisko to potwierdzili niejednokrotnie. Tymczasem dewaluację... przeprowadził właśnie p. Blum, a w dodatku chlubi się tym teraz, jako jednym ze swych najlepszych posunięć! Socjaliści powstawali głośno przeciw dekretem uderzającym w dochody drobnych ciułaczy. Dekrety te nie straciły jeszcze swej miary obowiązującej. Nazywali złoczyńcami tych co wywozili kapitały zagranicę. Dziś przyrzekają im wolny obrót pieniężny. Wołali zawsze o zniesienie tajnych funduszy, jako źródła przekupstwa — teraz głoszą za ich utrzymaniem. Zwolennicy ostrych sankcji antywłoskich — sami je ostatecznie zniesli.

Socjaliści sprzeciwiali się zawsze wielkim

wydatkom wojskowym, przez długi czas protestowali przeciw dwuletniej służbie wojskowej. Dziś sprzeciwiają się skróceniu służby a budżet wojskowy uchwalili w wysokości jeszcze nie notowanej.

Nie my będziemy ich za to potępiać I nie potępia ich z pewnością żaden patriota francuski. Tu dostaliśmy się do sedna sprawy. Leon Blum jest socjalistą, ale jest także a właściwie przede wszystkim patriotą francuskim. Łatwo, gdy się jest w opozycji krytykować posunięcia rządu, gdy nie zgadzają się z ideologią społeczną partii, ale lojalny obywatel musi myśleć przede wszystkim o całości państwa. Cóż z tego, że właśnie w klasę społeczną najbliższą sercu uderza ten lub ów dekret, gdy nie można rujnować wielkiego przemysłu, nie rujnując całego przemysłu, gdy zmniejszenie podatków na armię narazi na szwank bezpieczeństwo granic.

Czy państwo o kulturze tak wysokiej jak Francja może sobie pozwolić na pozostawienie obywatelom absolutnej wolności słowa? Pan Blum myślał dawniej że tak. Teraz zmienił zdanie. Musiał je zmienić. Kampania prasowa, która doprowadziła go do utraty jednego z najbliższych współpracowników, przekonała nawet tak zagozłego zwolennika swobód konstytucyjnych.

Oczywiście rząd pana Bluma jest rządem parlamentarnym. Ale parlamentaryzm przybiera czasami dość niecodzienne formy.

Posiedzenie na którym uchwalono budżet, pobiło wszystkie rekordy. Trwało przeszło dwa dni, dokładnie 49 i pół godzin! Oczywiście większa część posłów, a tym bardziej senatorów spała już oddawna gdy odczytywano tekst ostateczny. Posiedzenie rozpoczęte 31 grudnia skończyło się 2 stycznia. Jak obliczają niektórzy 48 miliardów podatków uchwalono w trzy godziny, daje to przeciętną szybkość 266 milionów na minutę. Podobno jeden z ministrów znajdując się w bufecie a uprzedzony, że budżet jego resortu wchodzi na plenum, puścił się pędem w stronę sali, ale nim zdążył przebyć sto metrów płaskiego

biegu, dzielących go od jego ławy, było już po wszystkim.

Co prawda są to plotki prawicy. Ta nie mniej silnie zmieniła oblicze. Pamiętamy dobrze występy Croix de feu. Wydawało się przez czas krótki, że faszyzm francuski, idąc śladami swych włoskich i niemieckich poprzedników, potrafi zdobyć rzeczywisty wpływ na masy. Pomylił się w obliczeniach. Zbyt już wyraźnie sięgał po obce wzory. Społeczeństwo tak uświadomione jak francuskie nie dało sobie ich narzucić, obroniło się tak samo jak i teraz broni się przed wpływami ze wschodu.

Skrajna prawica zmalała, skurczyła się do rzeczywistych tylko partyjników. Zmianę tę możemy zmierzyć zupełną zmianą frontu jej czołowych publicystów. Zginęły bez śladu wołania o silny rząd, chwalby ustrojów silnej ręki. Zwolennicy dyktatury przemienili się w... obrońców parlamentaryzmu. Nie wiele brakuje a będą się litować nad losem biednego robotnika gnębiętego przez rząd Bluma! W prasie rozpętała się istna orgia kalumnii. Każdy środek wydaje się dobry, by podminować rząd, którego premier nie okazał się człowiekiem partyjnym, ale obywatelem.

Brak odpowiedzialności i zaślepienie doszły do tego, że po raz pierwszy w historii Francji parlamentarnej posłowie prawicowi wystąpili przeciwko rządowi w dziedzinie obrony narodowej!

Znamienny to przykład do czego prowadzi zacietrzewienie partyjne! Przykład jaszkrawy ile są warte hasła i programy najrozmaitszych menerów.

Paradoksalna sytuacja!

„Nacjonałiści” nie pochwalają polityki zbrojeń, a lewicowcy pozostający pod wpływami czerwonej Moskwy uchwalają olbrzymie budżety wojskowe i wyciągają rękę do hitlerowskich Niemiec!

Możnaby się głośno roześmiać z takiego pomieszania pojęć, gdyby nie nauka płynąca z widoku partyjnictwa poświęcającego wszystko dla osobistych celów i człowieka ważącego się na odłożenie na bok doktryny społecznej, tam gdzie tego wymaga interes państwa. (133).

FACHOWOŚĆ CZY INTELIGENCJA*

Stwierdzając bezsporny fakt, że po za rozstrzygającą stroną samejże zasady rządzenia, współdziała w rezultatach sprawa wykonania i wykonawców, wkraczamy na tereny zagadnienia, co decyduje o powodzeniu „fachowości”, czy inteligencji.

Dyskutowano o tym u nas zwłaszcza szerego w pierwszych latach Polski Odrodzonej, a następnie w pierwszych latach po przewrocie majowym, spierając się przy tym w kółko, co stanowi właściwą kwalifikację do wykonywania rządów, wybitne zdolności wrodzone, czy też fachowe przygotowania. Dyskusje na ten temat prowadzone w Polsce bez końca w publicystyce i w debatach prywatnych, najczęściej jednak bez uwzględnienia faktu, że sprawa ta w metodologii naukowej, a tym samym we wszystkich innych dziedzinach, jest właściwie bezspornie rozstrzygnięta. Twórca raczej, niż tylko najwybitniejszy przedstawiciel metodologii historii, E. Bernheim umieścił jako motto swego znakomitego „Lehrbuch der historischen Methode” (szereg wydań) wyjątkowo głębokie i trafne zdanie, a mianowicie „Geist ohne Methode schädigt die Wissenschaft nicht weniger als Methode ohne Geist” („umysł = esprit, inteligencja, bez metody szkodzi wiedzy nie mniej, jak

metoda bez umysłu”). Proste to zdanie najlepiej rozstrzyga te uparte w Polsce spory, o kwalifikacje do wykonywania rządzenia, w których przeważnie Polacy z b. zaboru austriackiego bronili i bronią zasady t. zw. fachowości czy przygotowania rzeczowego, a Polacy z b. Kongresówki zasady celowości używania przede wszystkim ludzi o wybitnych wrodzonych zdolnościach, gdy z b. zaboru pruskiego obstawano przy zasadzie, nie z dziedziny metodologii, a poprostu, byle swój. Według natomiast światłych słów Bernheima albo obydwie o fachowość spierające się strony mają częściowo słuszość, albo raczej obydwie opinie nie mają podstaw. Szkodnikiem w rządzeniu państwem, czy każdym chociażby przedsiębiorstwem, względnie w każdej odpowiedzialnej pracy jest równie dobrze uzdolniony dyletant, który nie opanował zasadniczych elementów wiedzy swego odcinka pracy, czy resortu, tak samo jak szkodnikiem jest tęp fachowiec, jeśli nawet opanował świetnie wszystkie elementy wiedzy na danym odcinku zagadnień.

Odnosi się to u nas oczywiście także do wszelkich prób ustalania wskazań i stwierdzeń politycznych, które tak często przy całej błyskotliwości pomysłów i efektownych, a pozornych, argumentów rozumowych, nie wytrzymują pierwszej z rzędu próby metodycznej krytyki, operującej cyframi staty-

stycznymi i obserwacją historyczną. Uderza to szczególnie w argumentacji zarówno pewnych „młodych”, jak nieraz także u zawodowych polityków parlamentarnych, którzy, przy stanie naszych warunków uniwersyteckich i życiowych, nie mieli możliwości nabrania metody ścisłego uzasadniania swych przez siebie wyznawanych i głoszonych pomysłów. Szkodliwą bowiem jest zarówno inteligencja bez metody, jak metoda bez inteligencji. To jest cała bezwzględna prawda, sprowadzająca się w stosunku do każdego wykonawcy, do dwóch wymagań równocześnie, a więc zarówno tych wrodzonych zdolności, jak metody, czy fachowości. Niemniej jednak istnieje jedno faktyczne zastrzeżenie. Człowiek z natury bystry może nie tylko tę metodę opanować, czyli nabyć tę fachową szczegółową znajomość zagadnień, względnie resortu, wnosząc nawet nowe cenne spostrzeżenia, podczas gdy niestety t. zw. erudyta, czy fachowiec, nigdy nie zdoła nabyć prawdziwej inteligencji i orientacji, jeśli z tymi wrodzonymi zdolnościami intelektualnymi nie przyszedł na świat.

Dlatego niech rozmaici obrońcy wartości fachowości i samej tylko erudycji, jako takiej, mniej lub bardziej udyplomowanej, nigdy nie zapominają o znakomitym przysłowiu francuskim, które uczy: „si on est bête, c'est pour toujours” („jeśli ktoś jest głupi, to już na zawsze”).

* Wyjątki z książki, która ukaże się niebawem w druku p. t. „Naród a państwo jako zagadnienie Polski”.

W I E R S Z E O P A Ń S T W I E

W tomie wierszy Juliana Tuwima „Treść gorejąca” znajduje się między innymi kilka z głośnego swego czasu cyklu „Wiersze o państwie”. Wielkość poezji Tuwima polega przede wszystkim na jego stosunku do zdarzeń, do słowa, którym mistrzowsko operuje, na odnajdywaniu w rzeczach zwykłych i codziennych akcentów ostatecznej, głęboko ukrytej prawdy. I trzeba to sobie jasno uprzytomnić, że wszyscy młodzi, nawet awangarda, czerpią pełnymi garściami z dorobku „jego poetyckiej mości” — Tuwima. Ten najcharakterystyczniejszy przykład podświadomego odczuwania wielkości odgradza skutecznie poetę od zjadliwego oszczerstwa zawodowych umniejszycieli, dając mu na parnasie polskim miejsce samotne i pierwsze.

„Wiersze o państwie”. Takie wiersze, z których była by mocna wieść o powstającym wysiłku wszystkich dla wszystkich; wiersze o najdoskonalszym przejawie zmysłu i organizacji społecznej, wiersze, jakich trzeba w dzisiejszej Polsce. U Tuwima czytamy:

„Lecz nam w misterium przepowiedni — Rosła o państwo każda wieść, — Więc dziś wolność dzień powszedni — Trudno zrozumieć nam i znieść. — Od chorągwianych amarantów — Żądamy cudów, niczym w Lourdes — I uskrzydłonych policjantów — Wzywamy wśród ulicznych burd. — A on nie Konrad, on nie Gustaw, — Ni Króla Ducha dalszy ciąg. — Jemu wystarczy „Dziennik Ustaw”, — Najmystyczniejsza z polskich ksiąg. — I żadnej w tem

nie widzę racji, — By rozanielił się nasz wiek: — Żeby Anhellim był Zawadzki, — A Wernyhora wieszczym — Beck”.

Pyszny, puszkiniowski rytm i melodia wiersza, niesłychana plastyka słowa i bogactwo metafory, ale... To nie są wiersze o państwie. To satyra skrzęca się niemiłosiernym kunsztem bezlitosnego słowa, to chłostanie w jakimś tragicznym niezrozumieniu rzeczy najprostszych, oczywistych.

W literaturze i poezji sowieckiej nie ma książek specjalnie o państwie. Tylko, że państwo, jego sprawy, jego ludzie — są w każdej książce. „Wołga wpada do morza Kaspijskiego” i „Sobowótory” Pilniaka, „Cichy Don” Szolochowa, „Człowiek zmienia skórę” Jasińskiego, „Piotr Pierwszy” Aleksieja Tolstoj — to książki o treści z państwem ściśle związanej. Bo z faktem, że zjawiskiem niewątpliwym, z przyczyną wszystkich zjawisk wszystko musi się wiązać.

„Jedno pytanie tylko — szorstkie, — Lecz zasadnicze: czemu w tej — Potężnej firmie, przedsiębiorstwie — Ma Duch, Ideal wodzic rej?”.

Rozumiemy dobrze: Polska na codzień jest inna, pospolita, zwyczajna, nie ta z lektury „Dziadów”, „Wesela” i „Wyzwolenia”. Przestaliśmy być Chrystusem narodów, chcemy być państwem. Silnym, ubezpieczonym, spokojnym o dzisiaj i jutro państwem. Czał romantyzmu rozwił wiatr z hald Śląska i basenów Gdyni, z wygasłych kominów fab-

rycznych, z Łodzi, Lwowa... Anhellizm dźwięczy ostrogą, konradyzm zagłuszył rejwach z ulicy Wiejskiej. Ale to jest Polska, to jest państwo. Nie to, o jakim marzyliśmy w listopadzie i maju, to — jakie mamy tworzyć. Tworzyć codzień z błahych i wielkich spraw, z wierszy Tuwima i ceduł gieldowych, z patosu pracy i kontyngentu uboju rytualnego, z błota i ze złota. I to państwo, ku któremu idziemy nie jest tylko duchem i nie jest tylko przedsiębiorstwem. Jest nieprzetłumaczalnym celem ostatecznym, celem samym w sobie.

Talent obowiązuje. Obowiązuje również wysoki autorytet, powstały z talentu. Julian Tuwim nie rozumiał państwa, nie rozumiał tego, co jako poeta mógł w państwie zrobić. Jego „Wiersze o państwie” są nieporozumieniem zupełnym. Tym większym, iż aureola talentu otaczająca poetę ma wielki wpływ na jego czytelników. I bardzo wielu czytelników Tuwima po lekturze „Wierszy o państwie” pozostanie, zapewne, biernymi na idące obowiązki i prace. Tuwim winien szukać państwa, skoro go nie widzi, winien się starać je rozumieć. Albo niech zagłębi się w klaskaniu słowików, w puchu bżów, w zieleniącym księżycu, w czystej lirycie dla liryki. Wtedy nikt nie będzie oczekiwał od niego męskiego spojrzenia na państwo, którego nie ma w romantycznej pozie poety wywyższonego ponad tłumy, chcące, muszące żyć w państwie. Dziś czekamy jeszcze od Tuwima innych, prawdziwych wierszy o państwie. Czy nie czekamy napróżno? (135).

P A L C E M P O M A P I E

Niniejsza „wędrownica geopolityczna” będzie się tym razem odbywała raczej po okolicach wschodnich — jako że na Zachodzie w ciągu ubiegłego tygodnia nie zaszło nic specjalnie godnego uwagi.

Tajemnicze rozmowy ambasadora von Ribbentropa z lordem Halifaxem skończyły się chyba bez wszelkiej wątpliwości... brakiem jakiegokolwiek rezultatu. Jedynym ich pozytywnym wynikiem jest stwierdzenie, podane do publicznej wiadomości przez ministra spraw zagranicznych Francji, Delbosa, na radzie ministrów w dniu 13 b. m., że nie może być mowy dzisiaj o nawiązaniu jakichkolwiek owocnych rokowań w sprawie stworzenia nowego Locarna, póki sytuacja w Hiszpanii nie wyjdzie z chronicznego niemal impasu, tym bardziej, że komitet nieinterwencji napotyka na coraz większe trudności.

Owo wybitnie pesymistyczne stwierdzenie określamy, jako wynik pozytywny, w myśl zasady, głoszącej, że „najgorsza pewność lepsza jest od najlepszej niepewności”. Osobliwie w polityce.

Sytuacja w Hiszpanii, po ostatnich sukcesach gen. Franco, jako to zdobycie Malagi i odcięcie Madrytu od Walencji (naszym skromnym zdaniem strona obiegająca hiszpańską stolicę winna była od takiej operacji zacząć bitwę madrycką), winna bardziej przyczynić się do „wyjścia z impasu”, aniżeli jałowe rozmowy w Komitecie londyńskim.

Albowiem sprawy hiszpańskie doszły do punktu, w którym zarówno ze względów humanitarnych, jak ze względu na interesy ogólnoeuropejskie należy sobie życzyć jaknajrychlejszego zwycięstwa jednej ze stron walczących. Mimo całkowitej bezstronności jest nam, oczywiście, o wiele przyjemniej, że stroną bliższą zwycięstwa są powstańcy, których szanse polityczne „totalizatorowicze” oceniają ostatnio w stosunku 4 : 1.

Ze spraw zachodnich — należy podkreślić ciekawą ewolucję poglądów premiera Bluma, który w imię racji stanu zaapelował w ubiegłym tygodniu do francuskiego świata pracy, aby zgodził się na ustępstwa w dziedzinie najbardziej rozreklamowanych „zdobyczy frontu ludowego”, jak naprzykład 40-godzinny tydzień pracy... Jest to nadzwyczajne wywołanie potwierdzenie naszej tezy, że „nie wolno być socjalistą, gdy się sprawuje władzę we własnym kraju”...

O wiele ciekawsze wydarzenia rozgrywają się obecnie w Europie Wschodniej i na Bliskim Wschodzie. Jak słusznie twierdzi „L'Oeuvre” — w pół roku po szczęśliwym ustąpieniu wybitnie nieudanego ministra spraw zagranicznych Rumunii — Titulescu zaczynają się chwiać obie zrealizowane przezeń koncepcje, a mianowicie ententy: mała i bałkańska.

Zaczynają krążyć uporczywe pogłoski o całkowitym przegrupowaniu sił na Bałkanach. Mówi się

o rychłych rokowaniach w sprawie zawarcia paktów przyjaźni i wzajemnej pomocy pomiędzy Włochami, a Turcją, Grecją i Jugosławią, która — notabene — zawarła ostatnio układ ze wstrzemięźliwą wobec ententy bałkańskiej Bułgarią, zaś niebawem ma zamiar podpisać pakt z Węgrami.

Natomiast rumuński minister spraw zagranicznych Antonescu oświadczył w bardzo katerycznej formie, że Rumunia ani nie zawarła paktu wzajemnej pomocy z Sowietami, ani też nie ma zamiaru prowadzić rokowań w sprawie tego paktu.

Kryzys małej ententy został niewątpliwie przyspieszony przez skandaliczną z każdego punktu widzenia publikację b. posła czeskiego w Bukareszcie p. Szeby, z której zupełnie wyraźnie wynika, że Czechosłowacja prowadzi wyłącznie politykę sowiecką, a nie własną, czy nawet „małointentowską”, i że jest posłusznym wasalem Moskwy bez najmniejszych zastrzeżeń. Nasz nieudany południowy sąsiad od samego początku postępuje, jeśli chodzi o politykę zagraniczną, pod bardzo oryginalnym i rzadko stosowanym w tej dziedzinie hasłem „na złość mamie”. Zaczyna tedy zbierać odpowiednie owoce, czemu się bynajmniej dziwić nie należy.

Jak twierdzi znane rosyjskie przysłowie: „są to jeszcze tylko kwiatuszki, a niebawem pokażą się jagódki”. Związanie losów republiki czechosłowackiej z wyraźnie przegrywającym na terenie europejskim i ciężko sfermentowanym wewnętrznie sowieckim kolosem może narazić „złatą Praagę” na bardzo bolesne skutki, których ten niesłychanie daleki od minimalnej choćby konsolidacji wewnętrznej kraj może po prostu fizycznie nie wytrzymać. Będzie to więc zasłużone następstwo „szubowskich snów o

potędzie” i o... wspólnej granicy czesko-sowieckiej... kosztem Polski (!).

Przesuwając się dalej na Wschód pragniemy zwrócić uwagę na postępujący tam proces konsolidacyjny, wynikający z imponującej realizacji planu państwowego przez Nową Turcję. Pakt Turcja — Iran — Irak — Afganistan ma zostać urzeczywistniony w ciągu marca, podczas podróży ministra spraw zagranicznych Turcji Tefvika Ruzdi Arasa do Bagdadu i Teheranu.

W razie realizacji paktu włosko-tureckiego, o którym wspomnieliśmy powyżej — Turcja staje się ponownie wielkim mocarstwem, zajmującym kluczową pozycję w łańcuchu paktów od Apeninów do podnóża Himalajów. Zwracamy przytem uwagę, że jest to kraj nadzwyczaj ubogi, kraj, który poniósł klęskę w wyniku wojny światowej, i swe olbrzymie sukcesy zawdzięcza wyłącznie energicznej i konsekwentnej realizacji planu państwowego, rozpoczętej niezwłocznie po zwycięskiej rewolucji kemalistycznej.

Natomiast dość smutnie z punktu widzenia mocarstwowych dążeń japońskich zakończyło się ostatnie przesilenie gabinetowe w Tokio. Rząd gen. Hayaszi jest wynikiem kompromisu, który napewno nie będzie trwały. Bo nie widzimy możliwości trwałego porozumienia pomiędzy „gasnącym światem”, a armią japońską, którą uważamy za chorążego idei planu państwowego. I na to żadne doraźne kompromisy, nawet poparte olbrzymim autorytetem monarchy nie pomogą. Obecna sytuacja Japonii przypomina nam bardzo żywo — sytuację w Polsce, w przededniu zwycięskiego przełomu majowego... (66)

„MORŻOWA” „ODNOWA”

To jest rzeczą dziwną, że „Odnova”, głosząca totalizm demokracji para się jeszcze naszą „anonimowością” skoro wydrukowała... skład naszej redakcji. Czego organowi frontu ukutego w Morges jeszcze potrzeba? Pseudonimów zamiast numerków?

Czy może tego abyśmy poważnie traktowali reprezentantów „ginącego świata” trzymających się szpalt „Odnovy” jak deski ratunku?

„Nowością bezsprzeczną jest pojawiający się — może wbrew woli piszących — ton cichej groźby, ja-

kaś nomenklatura „między wierszami” — łaskawie stwierdza o nas „Odnova” (14. II.). „Znać, że autorowie nie zawsze rozróżniają między publicystyką a urzędowaniem”. Klitua-bajduś!

„Dodajmy — czytamy w „Odnowie” — że vox populi polityczne inspiracje „Zaczynu” wywodzi z kresów północnych, z grona osób, które nie są cywilnymi i nie są cierpliwymi”.

Panowie z „Odnovy”! Od kiedy to kuku na muniu tłónaczy się na vox populi?

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa 1, Al. Ujazdowskie 20 m. 7, tel. 7.11.97. Konto czekowe P. K. O. Nr. 25.544

Numer pojedynczy 40 gr. — prenumerata miesięczna 1 zł. 40 gr. — kwartalna w kraju 4 zł. — zagranicą 6 zł.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Leon Borkowski

Godziny przyjęć redakcji: 5-6 we wtorki, czwartki i soboty. Administracja czynna codziennie 10-12 i 5-7.

Cennik ogłoszeń: za tekstem $\frac{1}{1}$ — 300 zł., $\frac{1}{2}$ — 160 zł., $\frac{1}{4}$ — 85 zł., $\frac{1}{8}$ — 45 zł., $\frac{1}{16}$ — 25 zł. Za wiersz milimetry — 70 gr. Układ tabelaryczny 50% drożej.

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10